

Uśmiech Dalinki



Emilia Becker



Emilia Becker

Uśmiech Dalinki

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Emilia Becker
„Uśmiech Dalinki”

Copyright © by **Emilia Becker**, 2020

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone.

**Żadna część niniejszej publikacji nie może
być reprodukowana, powielana i udostępniana w
jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.**

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Adam Brychcy**

Ilustracja na okładce: **Krzysztof Kałucki**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: 978-83-8119-752-6

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

*Być może wszystkie smoki w naszym życiu są księżniczkami,
które tylko na to czekają, by ujrzeć nasze piękno i śmiałość.
Może wszystko, co straszne, jest w głębi bezbronne
i oczekuje od nas pomocy.*

Rainer Maria Rilke

Kiedy co rano pnie drzew otulał szalik z mgły, a potem powoli się unosił i zamieniał w różowy obłoczek, Dalinka wiedziała, że zbliża się jesień. Jej ulubiona pora roku.

Nawet imię otrzymała na cześć jesiennego kwiatu: dalii. Mama, która kochała kwiaty, mówiła, że dalie łatwo się nie poddają. Kiedy inne kwiaty więdną, one wciąż kwitną. Delikatne, ale silne. I Dalinka też taka była. Nawet, kiedy inni mieli smutne miny, ona wciąż się uśmiechała. Babcia powiedziała jej kiedyś podczas spaceru, że ma moc wyczarowywania uśmiechu, ponieważ zauważyła, że przechodnie uśmiechają się na jej widok.

Dalinkę dziwiło, dlaczego inni znajdowali tak wiele powodów, by nie lubić jesieni.

Niektórzy twierdzili, że jesienią jest szaro. Ale kto tak mówił, pewnie nigdy nie spacerował po parku, przez który Dalinka z mamą wracała codziennie ze szkoły. Trzeba by było ogromnego pudełka kredek, żeby znaleźć w nim kolory jesiennych liści. Często bawiły się z mamą w ich nazywanie. Podnosiły liść z ziemi, obracały go kilka razy w ręce i zastanawiały się, co im ten kolor przypomina. Na przykład miód lipowy. Albo mleczną czekoladę. Albo grzane wino.

Inni narzekali, że jesienią szybko robi się ciemno. Ale kto tak mówił, pewnie nigdy nie spędził wieczoru z mamą Dalinki, która miała mnóstwo sposobów na nudę. Ostatnio na przykład zrobiły sowę z szyszki i jelonka z żołądzi. Dalinka ułożyła zwierzątka na parapecie, a potem przysunęła twarz do szyby. Ciemność rozjaśniały tylko światła w oknach innych bloków. W ich ciepłym blasku

widać było, co dzieje się w domach sąsiadów. Ktoś pochylał się nad kuchenką. Ktoś dawał dziecku buziaka. Jakaś rodzina siedziała przed telewizorem. W jesienne wieczory wszyscy spędzali ze sobą więcej czasu.

Jeszcze inni marudzili, że jesienią robi się zimno. Ale kto tak mówił, pewnie nie znał babci Dalinki, która dziergała na drutach najcieplejsze skarpetki i najdłuższe szaliki na świecie. Babcia opowiadała, że zdarzało jej się zamyślić podczas dziergania i dopiero po czasie zauważała, że szalik wyszedł jej taki długi. Szaliki babci trzeba było owijać wokół szyi kilkakrotnie, dlatego dawały mnóstwo ciepła. A jeśli mimo to Dalinka zmarzła, po spacerze zawsze mogła się rozgrzać pyszną herbatą, do której mama wrzucała miód, goździki, cynamon i plastry pomarańczy. Taka herbata smakowała najlepiej w pękatym kubku z uśmiechniętą buzią na dnie.

A deszcz? Dalia nie bała się deszczu! Od czego miała kalosze i parasolkę? Gdy po raz pierwszy włożyła swoje nowe żółte kalosze, one zawołały ochoczo:

— I flip, i flap. I flip, i flap!

Postanowiła, że tak je nazwie. Prawy kalosz to Flip, a lewy — Flap. Albo może na odwrót? Jak tu się nie pomylić, skoro kalosze wciąż się przekrzykiwały? Wystarczyło, że Dalinka wskoczyła do kałuży, a już się zaczynało:

— Jeszcze raz!

— Nie, lepiej wybierz tamtą kałużę! Jest większa!

— Przecież ta jest większa!

— Mówię ci, że tamta!

A skakać potrafiła wysoko, bo dwa razy w tygodniu trenowała na trampolinie. Czasami, kiedy stawała obok dużej kałuży, wydawało jej się, że gdyby się dobrze rozpędziła, to wskoczyłaby głęboko, głęboko... aż trafiłaby do jakiegoś tajemniczego świata. Bo przecież musiał istnieć taki świat. Pragnęła do niego trafić i przeżyć wielką jesienną przygodę. I jej żółte, wesołe kalosze pewnie by jej w tym pomogły.

Z parasolką było inaczej. W pierwszej chwili Dalinka nie była nią zachwycona. Marzyła o różowej parasolce ze skrzydłami motyla na czubku. Tymczasem ta, którą mama przyniosła z wyprzedaży w supermarkecie, była przezroczysta. Po prostu przezroczysta. Bez skrzydeł, księżniczek ani nawet kropek.

— Nie było jakiejś... dla dzieci? — spytała Dalinka, patrząc niechętnie na parasolkę, która w ciemnym korytarzu wydawała jej się brązowa. Wręcz bura.

— Te dla dzieci bardzo szybko się psują — wyjaśniła mama. — Pamiętasz tę z zeszłego roku?

— Z księżniczkami?

Mama przytaknęła.

— I co się z nią stało? — spytała.

Parasolka sprawiała się całkiem dobrze aż do dnia, kiedy powiał silny wiatr. Dalince wydawało się, że wyrwie jej parasolkę z rąk. Na szczęście parasolka nie odfrunęła, za to najpierw wygięła się rączka, a potem zaczęły pękać druty.

Dwa z jednej strony, a zaraz potem trzy z drugiej. Na pozostałych drutach ledwie trzymały się strzepy poszycia z podziurawionymi księżniczkami. Mama chciała od razu wyrzucić parasolkę do dużego kosza na śmieci, który stał przy bramie parku. Jesienią często wystawały z niego połamane parasolki. Ale w końcu dała się uprosić i zaniósła ją do sąsiada, pana Mietka, który podobno potrafił naprawić wszystko. Pan Mietek tylko wzdygnął ramionami i powiedział, że parasolek się nie naprawia.

Mama odczekała chwilę, aż Dalinka wszystko sobie przypomni.

— No właśnie — kiwnęła głową akurat w chwili, gdy córka skończyła sobie przypominać. — A ta nowa parasolka jest bardzo wytrzymała. Zobaczysz, że będzie cię dobrze chronić przed deszczem. Otwórz ją, na pewno ci się spodoba.

— Wystarczy mi kaptur — mruknęła Dalinka.

— Przecież ty nie znosisz kapturów.

Dziewczynka tylko wzdygnęła ramionami i odłożyła parasolkę do wiklinowego stojaka. Wzięła ją ze sobą na spacer i rozłożyła po raz pierwszy dopiero po kilku dniach, kiedy rozpadało się tak mocno, że kaptur cały przemókł.

Ziuuu! Parasolka rozpostarła się błyskawicznie, a Dalinka natychmiast poczuła się bezpiecznie.

— Jestem Tereska — wyszeptała parasolka ciepłym głosem. — Odtąd będę się tobą opiekować.

To była pierwsza parasolka, która sama się Dalince przedstawiła. Dziewczynka podniosła głowę i uśmiechnęła

się na powitanie. Choć przez przezroczyste poszycie prześwitywało groźne, ciemnoszare niebo, to pod nim było sucho i ciepło. Przyjemnie było słuchać, jak krople z całą mocą uderzają w powierzchnię parasolki, a później rozbijają się i spływają — pokonane. Rączka Tereski się nie wyginała, a druty nie pękały. Nawet przy najmocniejszym wietrze parasolka układała się tak, by na Dalinkę nie spadła ani kropelka. Szkoda tylko, że w takich chwilach zawsze zaczynała się wymądrzać.

— Nałóż czapkę na uszy. Ochronię cię przed deszczem, ale przed wiatrem nie — mówiła.

— Oj, Teresko, przecież czapka nachodzi mi już na oczy — wzdychała Dalinka.

— Tak bardzo się poświęcam, a nawet złamanego „dziękuję” nie usłyszę.

Czasami Tereska zamartwiała się bardziej niż mama. Bo mama była zbyt zajęta, żeby ciągle się martwić. Zawoziła Dalinkę do szkoły jako pierwszą i odbierała ze świetlicy jako ostatnią. Pracowała w supermarkecie, tym samym, w którym kupiła Tereskę. W pracy musiała nosić zawsze tę samą granatową koszulę, ale za to często zmieniała płaszcze. Ich intensywne kolory: żółty, pomarańczowy, zielony pasowały do jej rudych włosów.

Dalinka nosiła krótką blond fryzurkę, ale marzyła o tym, by w przyszłości jej włosy były tak gęste i kręcone jak mamy.

Lubiła te krótkie chwile, kiedy mogły być z mamą razem. Dalinka uważała, że nie ma nic lepszego niż wspólne

jesienne popołudnie w parku. Najlepiej takie krótko po deszczu.

Park miał kształt koła. Dziewczynka wiedziała o tym, ponieważ wiosną i latem objeżdżała go na rowerze. Wzdłuż ogrodzenia biegła żwirowana aleja, a nad nią pochylały się stare drzewa, z których spadały liście o różnych kształtach. Trzeba było trafić na którąś ze ścieżek, ukrytych pomiędzy drzewami, żeby dotrzeć do sadzawki, która znajdowała się w samym środku parku. To wokół niej jesienią można było znaleźć najwięcej kasztanów.

Sadzawka była owalna, wsparta na czterech zaokrąglonych nogach. W jesienne wieczory lub pochmurne dni wyglądała z daleka jak wielki pajak. Dalinka okropnie bała się pajaków. Zwłaszcza wtedy, kiedy zbliżały się do niej na swoich obrzydliwie cienkich nogach. i wydawało się, że zaraz otworzą paszczę. Jednak kiedy świeciło słońce, a w wodzie odbijały się złote błyski, sadzawka wydawała się zupełnie nieszkodliwa. Więcej, wyglądała naprawdę pięknie.

Jesienią w alejkach parku można było znaleźć prawdziwe cuda, których latem się nie zauważało. Przemoknięte patyki, kamyki oblepione grudkami ziemi albo kasztany, które właśnie wypadły z kolczastej skorupki. Wydawały się takie samotne i zziębnięte. Dalinka najchętniej schowałaby je wszystkie do ciepłej kieszeni.

— Po co nam tyle kasztanów? — pytała mama.

— Możemy z nich zrobić żołnierzyki.

— Dalinko, jak byśmy chciały wybierać wszystkie kasztany w parku, to mogłybyśmy z nich zrobić armię

żołnierzyków. Jak pomieściłaby się w naszym mieszkaniu?

Choć Dalinka lubiła żołnierzyki z kasztanów, to jednak nie chciała zapełnić nimi całego mieszkania, które i tak było małe. Przecież nie mogło zabraknąć miejsca na półkę z misiami albo puszkę ze słodyczami.

— Ale ja nie chcę tych kasztanów tutaj zostawić! — westchnęła.

— Wystarczy, że każdy, kto przejdzie przez park, weźmie sobie jednego kasztana — powiedziała mama.

— Tylko jednego? Nigdy ich nie wybierają.

— Nie ma czegoś takiego jak „nigdy” – oznajmiła pewnym tonem mama. - Pomyśl, jakby tak wszyscy, którzy tędy chodzą, wzięli sobie po jednym kasztanie, wybieraliby wszystkie.

Dalinka rozejrzała się dokoła. Właśnie wyprzedził je mężczyzna w garniturze, ukryty pod czarnym parasolem. Nastąpił na kasztan i kopnął go czubkiem buta. Wtedy z ławki przy sadzawce wstała staruszka. Pochyliła się, podniosła zgubę, przetarła i wrzuciła do kieszeni grubego płaszcza.

— Jesienią powinno się nosić kasztan w kieszeni. To podobno przynosi szczęście — powiedziała mama. — Wystarczy jeden kasztanek, ale za to szczególny.

— Skąd będę wiedziała, który wybrać? – spytała Dalinka

— Kiedy go znajdziesz, poczujesz, że to ten.

Odkąd mama jej o tym powiedziała, Dalinka poszukiwała idealnego kasztana. Jeśli któryś zwrócił jej uwagę, kucą

i długo mu się przyglądała. Wcześniej myślała, że wszystkie kasztany są takie same. Okazało się, że nie ma dwóch identycznych. Niektóre były okrągłe, inne płaskie, jeszcze inne — zaokrąglone z jednej, a spłaszczone z drugiej strony. Jej kasztan musiał być wyjątkowy, bo przecież zamierzała nosić go ze sobą przez całą jesień, a nie wyrzucać i zamieniać na nowy.

Aż pewnego dnia trafiła na taki, który miał z boku małe wgłębienie. Kiedy włożyła go do kieszeni i dotknęła, wiedziała, że to jej kasztan. Często sprawdzała, czy wciąż tam jest. Nie było się czego obawiać. Wymościł się wygodnie na samym dnie kieszeni.

Dalinka cieszyła się, że wreszcie go odnalazła, choć z drugiej strony, było jej trochę żal, że teraz nie ma już czego szukać. Na szczęście akurat wtedy z drzew zaczęło spadać coraz więcej liści. Wiele osób spacerowało z kolorowymi pękami w ręce, a mama robiła z nich coś szczególnego — bukiety. Liść składała na pół, a następnie zwijała go w rurkę. W połowie tego zwijania w magiczny sposób zaczynała formować coś, co przypominało pąk róży. Kiedy już wyczarowała kilka róż, otaczała je liśćmi jak przybraniem, a potem wyjmowała z kieszeni nitkę i całość związywała. Przechodnie często przystawali i zachwycali się bukietem.

— Liściom musi być smutno, kiedy spadają z drzew. A tak mogą zostać różami. Albo czymkolwiek chcą — mówiła mama.

Pewnego październikowego dnia, po drodze z parku Dalinka z mamą przystanąły przy kwiaciarni. Przed drzwiami stał manekin przypominający smukłą panią, ubraną we wzorzystą sukienkę, z jarzębinowym wiankiem na głowie i koszykiem pełnym wrzosów w ręce.

Właścicielka kwiaciarni akurat wyszła na zewnątrz, by wystawić przed sklepem doniczki z daliami.

— Jaki ładny bukiet z liści! —zwróciła się do mamy. — Mogłabym go wykorzystać do naszej dekoracji?

Mama wręczyła właścicielce bukiet, a ta wsunęła go do ręki manekina. Odtąd, ilekroć mijały kwiaciarnię, Dalinka spoglądała z dumą w kierunku tego bukietu.

Podczas innego spaceru dziewczynce udało się wypatrzeć wyjątkowo piękny liść. Widziała, jak spadał z drzewa, a potem zawirował. Zawsze chciała uchwycić liść w locie, ale ledwie wyciągała po niego rękę, już znikał na kupce pod drzewami. Tym razem jednak liść miękko opadł na sam środek ścieżki. Schyliła się, a on podskoczył, popychany podmuchami wiatru. Dalinka pobiegła za nim. Już, już go miała, ale on znów podskoczył. Tym razem była szybsza, nadepnęła na ogonek. Liść był jej!Wzięła go do ręki i dokładnie obejrzała. To był duży liść klonu o krawędziach tak równych, jakby ktoś wyciął je nożyczkami. Miał zielone żyłki, przy ogonku był żółty, w środku pomarańczowy, a na zewnątrz czerwony. Łączył w sobie wszystkie kolory jesieni.

— Marność nad marnościami — szepnął liść.

— Co takiego? — zdziwiła się Dalinka.

— Marność nad marnościami i wszystko marność. —
Usłyszała w odpowiedzi.

— Co to jest marność?

— Nie wiesz? No tak, przecież jesteś tylko małą dziewczynką.

Dalinka zmarszczyła brwi. Uważała, że całkiem dużo rozumie pod warunkiem, że ktoś dobrze tłumaczy.

— Wiosną i latem byłem pięknym zielonym listkiem. Co rano spływały po mnie krople rosy, które później osuszało słońce. Niczym się nie martwiłem i myślałem, że to będzie trwało wiecznie. Ech, najlepsze czasy mam już za sobą! – zaszeleścił smutno liść.

Dalinka uważała, że dopiero teraz, kiedy liście spadają z drzew, są naprawdę piękne. Wiosną i latem są takie podobne do siebie, że nikt ich nie zauważa, a jesienią – każdy wydaje się inny. Podobały jej się też zmarszczki na liściach, takie jak na rękach babci.

— Mi się podobasz — powiedziała. — Wiesz co? Schowam cię do kieszeni!

— Skoro chcesz — westchnął liść. — I tak się rozsypię. Tak przy okazji, nazywam się Kohelet.

— A ja Dalinka. Wiesz, Kohelet...

— Kohelecie – poprawił ją liść.

— Wcale nie musisz się rozsypać, Kohelecie. Moja babcia suszy liście między kartkami książek. Wyglądają bardzo ładnie nawet po kilku latach.

- Po kilku latach! Phi! Czymże są w obliczu wieczności?
Kohelet znowu użył kilku trudnych słów.
- Czyli... że to mało? — spytała niepewnie.
- Bardzo mało! Ja wyrosłem na drzewie, które ma ponad dwieście lat, a ono i tak uschnie.
- A ile lat żyją liście? — spytała Dalinka.
- Lat? — prychnął Kohelet— Urodziłem się wiosną. Większość z nas nie dożywa zimy.
- Więc dlaczego kilka lat to dla ciebie mało?
Coś zachichotało w drugiej kieszeni.
- Kasztanku? To ty?— spytała Dalinka.
- Ummm — mruknął prawie niedosłyszalnie.
- Ty mówisz?
- W odpowiedzi padło chrząknięcie.
- To czemu dopiero teraz się o tym dowiaduję? — spytała Dalinka.
- Bo... wydawało mi się, że nie mam nic ciekawego do powiedzenia. Wolałem się więc nie odzywać. Mogłabyś pomyśleć, że jestem do niczego i wyrzucić mnie z kieszeni.
- W życiu bym cię nie wyrzuciła. Przecież cię wybrałam.
- Pewnie przez przypadek — szepnął.
- Wszystko dzieje się przez przypadek — podsumował swym posępnym głosem Kohelet.
- Nie przedstawisz się, kasztanku? — spytała Dalinka.
- Zygmunt, miło mi.

Koniec Wersji Demonstracyjnej